

Najważniejsze, żeby mówić prosto

Rozmowa z dr. Tadeuszem Zaleskim o popularyzacji nauki, historii uniwersytetu i komputeryzacji w Uniwersytecie Gdańskim przeprowadzona dnia 19 maja 2017 roku



Fot. Michał Szagzdowicz

■ Kiedy rozpoczął Pan pracę w Uniwersytecie Gdańskim? Czy od początku zajmował się Pan popularyzacją nauki?

Rozpocząłem pracę w Uniwersytecie Gdańskim w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym w Środowiskowym Laboratorium Akustyki i Spektroskopii. Pracowałem wtedy na trzy czwarte etatu. Po kilku latach, kiedy zostałem asystentem w Instytucie Fizyki, zacząłem przejawiać pewne skłonności do popularyzacji nauki. Organizowaliśmy na przykład w ramach oddolnej inicjatywy i nieodpłatnie dodatkowe kursy komputerowe dla studentów. Pisywałem też artykuły popularnonaukowe między innymi do „Młodego Technika”. Dotyczyły one głównie mikrokomputerów. Z kolegami napisaliśmy również skrypt pod tytułem *Mikrokomputery dla nauczycieli fizyki*.

Całkiem na serio z tematem popularyzacji zetknąłem się wtedy, kiedy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku na cztery i pół roku przeniostem się do Warszawy. Zostałem tam rzecznikiem prasowym ministra nauki i dyrektorem Departamentu Informacji i Promocji. Jednym z moich zadań była popularyzacja nauki. Wydawaliśmy biuletyn „Sprawy Nauki”, w którym zamieszczaliśmy sporo artykułów popularnonaukowych, oraz miesięcznik „Eureka”, w którym mieściły się sprawozdania z wyników grantów, finansowanych przez Komitet Badań Naukowych – poprzednika Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, publikowane w zwięzłej, a jednocześnie popularnonaukowej formie.

Bez reszty poświęciłem się popularyzacji nauki od września dwa tysiące drugiego roku, po powrocie na

Uniwersytet Gdański, gdy z woli ówczesnego rektora zająłem się organizacją od podstaw Bałtyckiego Festiwalu Nauki.

■ W jednym z numerów „Gazety Uniwersyteckiej” z początku lat dziewięćdziesiątych znalazła się informacja o komputeryzacji naszego uniwersytetu. Z Pańskich słów wynika, że komputery funkcjonowały już wcześniej na naszej uczelni. Czy mógłby Pan opowiedzieć coś więcej na ten temat?

Po raz pierwszy zetknąłem się z komputerem, kiedy indywidualnie studiowałem wybrane zagadnienia informatyki (obok fizyki doświadczalnej). W jednym z pomieszczeń budynku obecnego Wydziału Matematyki, Fizyki i Informatyki stała Odra 1204. Zajmowała ona pokój o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych, zastawiony okazałymi szafami, w których błyskały kolorowe diody. Komputer programowało się w ALGOLu 1204. Bardzo mi się to podobało. Następnie zaczęły się pojawiać kolejne komputery. Nazwy pierwszego już nie pamiętam, był to komputer przenośny, ale z trudem mieścił się na dużym biurku. Później sytuacja zaczęła rozwijać się lawinowo, z jednej strony pojawiły się tak zwane pecety [Personal Computer – red.], następnie PC XT [eXTended – red.], PC AT [Advanced Technology – red.]. Jednocześnie pojawiła się miniaturyzacja w postaci na przykład Sinclair ZX81, którego resztą używaliśmy, a który miał w wersji podstawowej jeden kilobajt pamięci RAM, natomiast w wersji rozszerzonej aż (!) sześćdziesiąt cztery kilobajty. Używaliśmy go do sterowania aparaturą do pomiarów fizycznych. Obliczeń na nim specjalnie nie dawało się robić, ale do sterowania monochromatorem świetnie się nadawał. Programy pisało się w assemblerze, najbardziej podstawowym języku.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym zostałem rzecznikiem prasowym rektora UG i kierownikiem pierwszej na polskich uczelniach jednostki do spraw informacji i promocji. Na prośbę mojego przyjaciela, profesora Macieja Żylicza, ówczesnego prorektora do spraw nauki, przyczyniłem się trochę do komputeryzacji administracji, w szczególności księgowości. Podejrzewam, że niektóre z tych programów funkcjonują jeszcze do dziś.

■ Jak postrzega Pan zmiany na Uniwersytecie Gdańskim na przełomie lat?

Los mnie połączył z Uniwersytetem Gdańskim w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, kiedy zdałem po maturze na fizykę doświadczalną. Egzamin wstępny odbył się w ówczesnej siedzibie Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii przy ulicy Sobieskiego osiemnaście w Gdańsku. W tym samym roku oddano do użytku nowy budynek ówczesnego Wydziału Humanistycznego, a w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym – budynek Matematyki, Fizyki i Chemii. Chemia pozostała przy ulicy Sobieskiego, a my przenieśliśmy się na Wita Stwosza pięćdziesiąt siedem. Wszystkich studentów zaangażowano do przeprowadzki. Nosiliśmy stoły, krzesła, aparaturę naukową i montowaliśmy to wszystko. Przez długi czas ten stan posiadania się nie zmieniał. Natomiast to, co się stało dzięki funduszom unijnym, to nieomal eksplozja, bo teraz mamy komfortowe warunki. Ma zostać jeszcze rozbudowany Instytut Informatyki, ale na tym rozwój lokalowy uczelni pewnie się skończy.

Mentalnie niestety również wiele się zmieniło. Kiedyś byliśmy jedną wielką rodziną. Wszyscy byli ze sobą na ty, darzyli się zaufaniem i szacunkiem, a teraz – obserwuję to ze smutkiem – zmierza to w kierunku czegoś na kształt korporacji i tej dawnej atmosfery mi na pewno żal.

■ Czy były jakieś osoby, które szczególnie zapadły Panu w pamięć podczas studiów i pracy w Uniwersytecie Gdańskim?

Tak się złożyło, że w okresie moich związków z fizyką miałem jednego mistrza. Poza krótkim okresem pracy w ŚLAS-ie cały czas byłem w jego zakładzie. Chodzi o docenta Jerzego Grzywacza, który był również promotorem mojego doktoratu. To człowiek niezwykle prawy, o niesamowitej historii, o której zresztą dowiedziałem się wiele lat później. Dość powiedzieć, że nasze zawodowe ścieżki rozeszły się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, a w ścisłym kontakcie jesteśmy do dziś, mimo że mój promotor jest już bardzo wiekowy. W ogóle miałem szczęście do szefów, gdyż później był profesor Zbigniew Grzonka, rektor UG w latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt – tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć, w których to zostałem jego rzecznikiem prasowym. W Warszawie moim szefem był minister nauki profesor Andrzej Wiszniewski, również bardzo jasna postać.

■ Od pewnego czasu coraz większą popularnością cieszy się prezentowanie przez naukowców wyników badań szerokiemu gronu odbiorców. Wydaje się, że trend ten jest obecny od kilku, czy nawet kilkunastu lat. Jakie są Pańskie doświadczenia w tym temacie?

Jeszcze jako licealista jeździłem na wykłady, które można nazwać popularnymi, ale niekoniecznie – popularnonaukowymi, na przykład z algebry i topologii na Politechnice Gdańskiej. Wykładowcy z politechniki mówili nam to samo, co swoim studentom, ale takim

językiem, żebyśmy to zrozumieli. Spotkania te odbywały się w piątki o godzinie osiemnastej czy dziewiętnastej, a myśmy twardo na nie jeździli. Część treści pamiętam do dzisiaj, tak wtedy zapadły mi w pamięć. Takiej *stricte* popularyzacji nauki nie było. Później zaczął się powoli trend, wywodzący się głównie z kręgów anglosaskich, urządzania festiwali nauki. Na przykład w Anglii takie festiwale zaczęto organizować w późnych latach osiemdziesiątych. U nas z kolei panowała pewna niechęć do popularyzacji wiedzy, naukowcy mieli obawy, że koledzy po fachu zarzucą im zbyt nieupraszczenie skomplikowanych problemów. Powoli jednak dochodziło do przełamania tej tendencji. Pierwsze pewnie były pogadanki na temat medycyny, bo wydają się one najbardziej popularne i nośne. Ale czy można je nazwać wykładami popularnonaukowymi? Nie wiem. Od późnych lat dziewięćdziesiątych festiwale nauki zaczęły powstawać również w Polsce. Obecnie wydaje się, że jesteśmy w Europie ewenementem pod względem ich liczby, ponieważ właśnie u nas rozwijają się one najdynamiczniej. Podobnie jak kawiarnie naukowe czy oranżerie naukowe dla dzieci. Naukowcy nawzajem się ośmielają w myśl zasady „ten mógł, to ja też mogę przekazać coś prostym językiem”. Na pewno więc sporo się zmieniło. Popularyzacja nauki jest też szalenie ważna z innego względu: ciągle utyskujemy, że nakłady na badania naukowe są za niskie, o kwotach decydują politycy myślący kategoriami wyborów, a więc w perspektywie czterech lat. Co będzie za cztery lata, jest dla nich nieistotne, gdyż jeżeli nie zostaną ponownie wybrani, to ich działalność właściwie się skończy. Jest jednak kilka takich obszarów, w tym badania naukowe, w których jeżeli nic nie zrobimy, to przez te cztery lata nie zostanie to szerzej zauważone (ale oczywiście pojawią się straty). Ale na przykład, jeżeli nauczyciele nie dostaną pensji, to miesiąc później będzie ogólnopolski strajk, jeżeli górnicy nie dostaną – będzie identycznie. A jeżeli garstka z niecałych stu tysięcy naukowców pójdzie protestować, nikt się tym nie przejmie. Należy postawić sobie pytanie: kto wybiera polityków? Wybiera ich naród, dlatego jeżeli dotrzemy do ludzi z informacją, jak wiele zawdzięczają badaniom naukowym, to zaczną o nich myśleć. A jak do nich dotrzeć? Oczywiście z przestaniem popularnonaukowym. Nie z artykułami naukowymi, bo tych przeciętny człowiek nie rozumie – co nie jest zarzutem. Należy wyjaśniać, że dzięki badaniom naukowym mamy na przykład patelnie teflonowe, telefony komórkowe, leki nowej generacji i tak dalej. Wtedy jest nadzieja, że wpłynie to na wybory dokonywane przez ludzi przy urnach.

■ Prowadząc czasopismo i organizując różnego rodzaju wydarzenia dla młodych naukowców, zauważamy, że często występuje wśród nich problem z przystępnym mówieniem o nauce. Czasem ma się wrażenie, że osoba specjalnie mówi trudniej, używa fachowych słów, ponieważ wydaje jej się, że taka

wypowiedź ma wyższą rangę naukową. Jakie miałyby Pan rady dla młodych naukowców w kontekście popularyzacji ich badań?

Chciałbym przypomnieć rozmowę Sławomira Zagórskiego z laureatem Nagrody Nobla z fizyki, Georgesem Charpakiem, która ukazała się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku w magazynie „Gazety Wyborczej”. Charpak to polski Żyd, który w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku wyemigrował do Francji. Ta rozmowa dotyczyła różnych tematów, również prostoty mówienia. Charpak wspominał wówczas, że podczas uroczystości wręczenia Nagrody Nobla miał wygłosić dwa wykłady: godzinny wykład dla specjalistów i trzyminutowy – do laików. „Panie redaktorze, ten godzinny? Nie ma problemu, ale ten trzyminutowy! Przez tydzień spać nie mogłem, myśląc, jak mam to powiedzieć”. I to jest istota! Oczywiście trzeba mówić językiem prostym. Używać skojarzeń. Nie bać się tego. Można jednocześnie podkreślić, że jest to jakieś uproszczenie. Niemniej jednak nie można postugiwać się slangiem czy żargonem naukowym. Od wielu lat prowadzę Kawiarnię Naukową, w której prelegenci posługują się językiem prostym, ale zdarza się, że na sali siedzi na przykład jakiś młody doktorant, który chce zabłysnąć swoim zorientowaniem w temacie przez używanie skomplikowanych, fachowych określeń. Po czterdziestu pięciu sekundach przerywam mu, mówiąc, że nie jest to seminarium naukowe tylko wykład popularnonaukowy i albo taka osoba zmienia język, albo rezygnuje z wypowiedzi. Idea jest taka, że taką wypowiedź mają zrozumieć wszyscy, niezależnie od poziomu wykształcenia, kierunku wykształcenia i wieku.

■ Czyli główna rada jest taka, żeby mówić prosto?

Tak, ale – wbrew pozorom – proste to nie jest.

■ Wróćmy do wspomnianej przez Pana Kawiarni Naukowej. Odbyło się w niej już ponad sto spotkań. Czy mógłby Pan opowiedzieć coś więcej o tym przedsięwzięciu? Skąd właściwie wziął się pomysł?

Pomysł nie jest mój i nie jest nowy. Kiedy w dwa tysiące drugim roku stanąłem na czele inicjatywnej grupy, której celem było przygotowanie pierwszej edycji Bałtyckiego Festiwalu Nauki w maju dwa tysiące trzeciego roku, pełniłem tam również funkcję rzecznika prasowego. Wiązał się z nią istotny kłopot, to znaczy zaistnienie w mediach. Trwało to około pięciu lat, co właściwie od początku zakładałem. Przy pierwszym i drugim festiwalu padały pytania: co wy właściwie na tym festiwalu robicie? Tańczycie, śpiewacie? Nie było sztuką zauważyć, że jeżeli o festiwalu mówiło się w mediach, to mówiło się raz w roku, w okolicy połowy maja. Festiwal odbywa się pod koniec maja, więc wcześniej pojawiają się jakieś zapowiedzi i doniesienia. Festiwal się kończył i zapadała grobowa cisza na następne jedenaście i pół miesiąca. Kiedy byłem jeszcze rzecznikiem

prasowym Komitetu Badań Naukowych, zapraszano mnie na pierwsze spotkania w ramach Warszawskiej Kawiarni Naukowej. Wtedy zobaczyłem, jak wyglądają takie spotkania i wpadłem na pomysł stworzenia kawiarni na terenie Trójmiasta tak, aby o festiwalu mówiono nie tylko raz w roku, ale przynajmniej raz w miesiącu. Warunkiem było to, żeby zapraszać osoby rzeczywiście ze świecznika naukowego, czyli ludzi, którzy mają dorobek, otrzymali nagrody, a z drugiej strony, żeby te osoby chciały mówić prosto o rzeczach interesujących. I w ten sposób w marcu dwa tysiące czwartego roku odbyło się, w miejscu niezwykle prestiżowym – sopockim Hotelu Rezydent – pierwsze spotkanie Kawiarni Naukowej. Gościem był profesor Roman Kaliszan z ówczesnej Akademii Medycznej w Gdańsku, który wygłosił wykład pod tytułem „Kierunki poszukiwania lepszych leków”. Później działanie oparte było właściwie na żelaznej konsekwencji, rozeznaniu w środowisku (a dzięki temu, że byłem przez wiele lat rzecznikiem prasowym na uniwersytecie, to sporo osób z tego środowiska znałem i znam nadal), które dawało możliwość zapraszania odpowiednich osób. Tak doszliśmy do lutego dwa tysiące siedemnastego roku, kiedy odbyło się setne spotkanie wieńczące trzynastolecie istnienia kawiarni. Sprawia mi dużo radości, że jakkolwiek by się nie zmieniało kierownictwo hotelu, to zawsze jest ono jak najbardziej zainteresowane dalszą współpracą. Sądzę, że jest to również z korzyścią dla samego hotelu, ponieważ jeżeli gdzieś w radiu, gazecie czy internecie zapowiada się spotkanie Kawiarni Naukowej, trzeba się rzeczywiście powieścić, gdzie ono się odbędzie. Dość życzliwie traktuje tę inicjatywę portal Polskiej Agencji Prasowej Nauka w Polsce, na którym zamieszczane są informacje o spotkaniach, więc jest to również dla hotelu niewątpliwa promocja. Za niespełna tydzień będzie sto trzecie spotkanie... Przy setnym był tort, więc było uroczyste. Pozwoliłem sobie wtedy zaprosić także profesora Magdalenę Fikus, która była jednym z ważniejszych animatorów Warszawskiego Festiwalu Nauki i Warszawskiej Kawiarni Naukowej, gdzie nadal się udziela mimo zaawansowanego wieku.

■ Jacy wykładowcy albo jakie wykłady zapadły Panu szczególnie w pamięć?

Pamiętam wszystkie sto dwa wykłady! Jako ciekawostkę powiem, że z tych stu dwu ja prowadziłem tylko sto jeden, ponieważ kiedyś dosyć niespodziewanie znalazłem się w szpitalu i to niestety kolidowało z terminem wykładu. Uratował mnie wtedy kolega, który poprowadził całe spotkanie. Uważam, że wszystkie ze spotkań były na dobrym poziomie. Blisko pięć lat temu z inicjatywy ówczesnego dyrektora Centrum Informatycznego Trójmiejskiej Akademickiej Sieci Komputerowej we wspólną organizację zaangażowała się Telewizja TASK i od tego czasu wszystkie wykłady są rejestrowane i dostępne w internecie.

Natomiast jeżeli miałbym mówić o niezwykłych wykładach, to o takich, których przebieg wyraźnie różnił się od pozostałych (bo zazwyczaj jest tak, że przedstawiam gościa, gość wygłasza swój wykład, najczęściej ilustrowany slajdami, później jest dyskusja, na końcu ewentualnie jakaś rozmowa w kularach). Takim przykładem był na pewno wykład profesora Piotra Kwieka (fizyka) o hologramach. Z tym, że on nie tylko mówił o hologramach, ale również je pokazywał. Przywiózł cały samochód sprzętu, porozstawiał to wszystko – to były lasery. I profesor, chcąc pokazać bieg promienia lasera, musiał zadymić część pomieszczenia. Miał taką teatralną zadymiarę, z której buchały kłęby dymu. W sali były czujniki i zraszacze, a ja tylko modliłem się w duchu, żeby one nie zadziały. Nawiasem mówiąc, parę miesięcy wcześniej czujniki włączyły się w bibliotece uniwersyteckiej, kiedy ekipa TVP3 Gdańsk nagrywała tam swój program... po prostu parę reflektorów było ustawionych zbyt blisko czujników. U nas na szczęście obyło się bez takiej sensacji. Na samym wykładzie był tłum. Co nie znaczy, że ja byłem szczęśliwy, bo trudno nazwać kawiarnią miejsce, w którym część osób stoi z tyłu pod ścianą, a młodzież siedzi z przodu na podłodze, bo już nie ma innej możliwości.

Pamiętam też wykład profesora Andrzeja Szutowicza z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, który na samym końcu odśpiewał balladę z akompaniamentem swojego przyjaciela gitarzysty. Było to coś absolutnie odmiennego. Na pewno setne spotkanie kawiarni zapadło mi w pamięć z racji tego tortu i tego, że w jego trakcie były dwa wystąpienia. Najpierw było to programowe wystąpienie profesora Andrzeja Ceynowy, a później wystąpienie profesor Magdaleny Fikus. Również przedostatnie – sto pierwsze – spotkanie, gdzie elementem wykładu był ponad półgodzinny film, będący relacją z wyprawy na Spitsbergen. Właściwie można by wymienić dużo więcej takich wykładów.

■ Wracając do czasu, kiedy był Pan pierwszym szefem działu zajmującego się promocją: jak wtedy wyglądała praca w tym dziale? Dzisiaj na większości uczelni głównym celem jest przyciągnięcie kandydatów na studia. Organizowane są duże kampanie z plakatami, billboardami, reklamami w telewizji i radiu. Na ile inaczej było kiedyś?

Wtedy dział promocji nosił nazwę Ośrodek Informacji i Promocji. Był on pierwszy na polskich uczelniach. Zresztą przyjeżdżano do mnie wtedy z różnych uczelni pytać, w jaki sposób to zorganizowałem. Praca różniła się przede wszystkim tym, że... nie było internetu, co dzisiaj trudno sobie wyobrazić. Z mediami komunikowałem się za pomocą faksu. Duży nacisk kładłem też na osobiste kontakty. One na przykład zaowocowały tym, że w ścisłej współpracy ze mną w Telewizji Gdańsk raz w miesiącu był emitowany kwadrans akademicki. Wyszukiwałem ewentualnych bohaterów spotkań, następnie przyjeż-

dzała ekipa i te spotkania rejestrowała. Były tam poruszone różne tematy, często była mowa o badaniach naukowych, co je promowało, bo uniwersytet to przecież nie tylko nauczanie, ale również badania naukowe. Dbałem o to, żeby z rzetelną informacją dotrzeć do mediów. Później, chyba w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, powoli zaczęła docierać się. Pierwsze łączenia były przez modem telefoniczny. Wie Pan, czym był Gopher? Gopher to jest takie małe zwierzątko, które biega po prerii i zagląda do wszystkich możliwych nerek, ale Gopher to była również nazwa protoplasty internetu. Posługiwało się w nim tylko tekstem, ale do tekstu można było podłączyć link i zajrzeć do kolejnej norki, i do następnej... Na Uniwersytecie Warszawskim była taka nieformalna centrala, w której prowadzono stronę z wykazem wszystkich serwerów w Polsce. Tych serwerów było trzydzieści parę. Mieściły się na jednej kartce maszynopisu. Wśród tych stron – co było bardzo ważne – była również strona Uniwersytetu Gdańskiego. Na początku była to sztuka dla sztuki, ponieważ redakcje mediów dopiero później się zorientowały, że jest to cenne źródło informacji. Najpierw dominował świat akademicki (praktycznie wszystkie serwery były na uczelniach), a dopiero później to się rozbudowało. Pamiętam listę, która liczyła około tysiąca pozycji. Później zaczęła się era internetu i Gopher poszedł w zapomnienie. Szkoda tylko dorobku, który tam był zgromadzony, bo to można było gdzieś zarchiwizować.

■ Początek lat dziewięćdziesiątych – wtedy chyba właściwie nie było problemu ze ściąganiem studentów na Uniwersytet Gdański?

Oczywiście, że tak. Wszędzie właściwie było po kilku, jeżeli nie po kilkunastu kandydatów na jedno miejsce, więc to nie stanowiło problemu. Natomiast głównym zadaniem, które postawił przede mną rektor, było to, żeby nasza uczelnia zaistniała w świadomości społecznej, a pochodną tego było ewentualne przełożenie na przyszłych studentów czy też promocja badań naukowych i innych osiągnięć. Bo niby byliśmy w Trójmieście, ale tak naprawdę byliśmy obok.

■ Czy ma Pan jakieś nowe pomysły związane z popularyzacją nauki? Czy chciałby Pan coś jeszcze zrobić na przykład w związku z festiwalem, Kawiarnią Naukową? A może coś całkiem nowego?

Jeżeli chodzi o Kawiarnię Naukową, to przede wszystkim chciałbym utrzymać jej wysoki poziom. Jestem zawsze otwarty na jakieś ekstra rozwiązania, takie jak wspomniane lasery czy coś podobnego. Można też spróbować – bo w niektórych kawiarniach tak się robi – zaprosić dwóch prelegentów, a w zasadzie już nie prelegentów, ale dyskutantów, którzy będą ze sobą publicznie dyskutować.

Dziękuję za rozmowę.

DOMINIK BIENIŃ